

DAGNY PRZYBYSZEWSKA

O ZMIERZCHU

Ten kwiat — ten dziwny kwiat.

Przytuliła się twarzą do pędu jego kwiecica, całowała je i głaskała i pieściła smukłą jego łodygę.

Zapach kwiatu przenikał ją tajemną rozkoszą. Zdało jej się, że to wielkie, słodkie oko kwiatu, odzwierciadlało jej własną tęsknotę

Odnalazła coś, co dawno już zgubiła — dźwięk, oddech tajemny własnej duszy.

Pieśń, hymn szczęścia i rozkoszy, który dawno już przebrzmiał.

Och! jak ona ten kwiat kochała, jak ją to bolało, gdy jedno z tych gwiazdnych oczu zwiędło i opadało ze smukłej łodygi.

I dumiała, myślała o wszystkich kwiatach swego życia, o ich rozkosznej woni i ich złamanych badylach. Zamknęła oczy, a w ciemnym pomroku krążyły i łyskały się gdyby tysiącznoskrzydlate, tysiącznobarwne ptaki.

Wszystkie pieśni rozśpiewały, wszystkie barwy rozteńczyły się ponad jej dniem i nocą, jawą jej i snem...

Ale ten jeden kwiat, którego nigdy przedtem nie widziała, a który nagle znalazł się jednego dnia w jej pokoju, dziewiczy, niedostępny i zamysłony; ten kwiat z koroną białych gwiazd wokół swej głowy — och ten kwiat śpiewał tajnie jej tęsnót i pragnień. A gdy chłonęła oddech jego, czuła dreszcz rozkoszy, kraśniała z szczęścia.

Gwiazdy kołowały w błędnym tańcu wokół niej, lśniące jak świeży szron, co zwisa z młodych chojarów, a wabiące gdyby odbicie mlecznej drogi na dnie głębokich jezior, ale ta jedna, ta samotna gwiazda była jedyna, co promieniła czystości i słodycz. Gwiazda nad Betleem jej duszy.

Jak młoda i strojna i piękna była wtedy! Jak obca i daleka życiu! Tak daleka, że nawet jej najsilniejsza tęsknota nie sięgała jego krańców.

Widziała siebie z całym naręczem modraków, błękitnych jak jej własna dusza, jej własna, rozwiewna, wiosenna dusza, co się szerokim kielichem ku życiu rozkwitała.

I całymi garściami chwytala i rozrzucała je wokół siebie, rozrzucała i znowu zbierała.

Była strojna i kwietna. Żółte kwiaty w włosach, czerwone wianki opasywały biodra... a na całej sukni girlandy białe i niebieskie, tulipany, fiołki i bez i dzwonki, a woń tych kwiatów upajała jej zmysły, ale dusza spała.

A potem nadeszły dnie róż. Tylko róże, pełne, wazkie jak strumień włosów kochanki, lśniące i żarzące się róże... Całe jej życie, to jeden czarowny krzak, obsypany przemożnym bogactwem róż; i ssala, wchłaniała w każdą szczelinę swego ciała ich odurzający czar.

Ale nadszedł czas, kiedy róże powiędły. Cieszyła się, syciła się rozkoszą, że liście opadają, żółkną i gniją. Obrywała, rozdzierała róże, strząsała je z prętów, szarpała całym krzakiem, aż się posypał cały deszcz zmęczonych, powiędłych, wyblakłych listków, posypał się na jej znużoną głowę. Aż się naraz zjękła, bo róże jej były czarne, a liście zwęglone.

I szła cicha i smutna nad brzegiem zamulonych stawów i bagien, zbierała kwiaty blade i jak z gromnicznego wosku ulepione; badyle jej kruche jak zmarzła trzcina — zbierała jaskry z żółtemi, starczemi ustami, zbierała blade gwiazdy wodnych róż, co wykwiwały na szerokich łopuchach i zimne, wilgne nenufary z rozłożystemi ramionami. Nagle zdawało jej się, że serce jej, to ta trująca ziemia, na której te kwiaty wyrosły.

Ale jednego dnia uczuła, że zamarzło światło jej serca; że serce jej było w kształt białego i zimnego kryształu. Blask jego ścinał lodem jej oczy i zatęskniła za kwiatami, których nigdy nie dotknął pieszczącą dłonią promień słońca,

za kwiatami czarów i dziwnych uroków, w których żyłach tylko jad krążył; zatęskniła za odurzeniem trucizn.

I znalazła je w głębokich uroczyskach puszczy nieprzedartych, w wilgnej cieni, której nigdy jeszcze blask dnia nie skalał; znalazła kwiat ciemny, wieczną pomroką żalobny, kwiat z obwisłym liściem i smutnie opadłym kwieciami — bezbarwny, bo wilgoć młodość pożarła.

I chciwie czytała w jego zamglonych oczach, całowała je i poila się jego trującym oddechem.

Zerwała go, wzięła go ze sobą i z tajnym tryumfem położyła go na ofiarnym ołtarzu. I jakieś straszne szczęście przenikło ją całą, gdy widziała, że trujący jad rośliny ścieka, kropla za kroplą — dżdży i ścieka poprzez tabernaculum.

Ale rozkosz ta rozszczepiła jej duszę i z dziką wściekłością wyrzuciła kwiat z świętego przybytku Ciała i Krwi Pańskiej, zdeptała go i cisnęła w błoto.

Teraz nie chciała już widzieć żadnego kwiatu.

Ale napróżno.

Kwiaty modliły się ku niej, wołały pieśczętą i wabiącym cudem za nią, rozrosły się bujnymi krzewami po wszystkich przydrożach, osieciały i osaczyły ją, łyskały łuną parnych błyskawic wokół niej i gromadziły się w jej pokoju chmurą tysiącznobarwnych, tysiącznoskrzydlatych ptasząt.

Dziewicze lilije obslizgiwały się po niej ludzkimi językami, orchidee, chryzantemy, kaktusy i smutne kwiecie oleandru. Brunatne, żółte, przedziwnie czerwone, błękitne, jak pieczary zaklętych gór.

Obezwładniała w upojeniach ich woni.

Słyszała ich szept; widziała całe korowody dziwacznych kwiatów, co szły grzmiące w bohaterskich pochodach ku niej, zwartym szeregiem opasywały ją, zionęły trujący oddech, co falą jadu lał się w jej duszę... Dusila, dławila się — och! — ten żelazny pierścień, co krtań jej okręcał.

To wszystko zlało się przeblyskiem dalekich wspomnień z jej duszy.

Była przecież sama — i ten pyszny, samotny kwiat w jej pokoju.

Kwiat jej duszy stał dumny i wyniosły przy jej boku — czysty oblubieniec jej.

Przytulił się do niej, głaskał jej twarz swą betleemską gwiazdą; a jak wyprężone ciało węża słała się ku niej gibka łodyga i patrzyła na nią swymi białymi, dużymi gwiazdami.

I czuła, jak serce jej bije nowym szczęściem, jak struny jego śpiewają rozkoszną pieśń, trącane pieśczętą tych białych, gwiazdnych promieni:

O gwiazdo moja, betleemska gwiazdo ponad duszą
moją!

A pieśń zapełniła pokój cały, wsiąkała w każdą szcze-
linę jej duszy, drżała z szczęścia i upojenia:

O gwiazdo moja, betleemska gwiazdo, co płoniesz
nad mą duszą...